



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Weronika Budziłło

## Wojenne wędrówki

Dziewiąte urodziny obchodziłam jeszcze w wolnej Polsce i w nowym siedlisku, ponieważ w roku 1939 przeprowadziliśmy się do własnego domku, który słuszniej byłoby nazwać chałupką (ale za to z dużym ogrodem). W tym dniu rodzice podarowali mi śliczny granatowy mundurek i także pantofelki, a moje trzy starsze siostry kupiły mi białe skarpetki i wstążki. Ogromnie cieszyłam się z podarunków i z wielką niecierpliwością czekałam na 1 września – dzień rozpoczęcia nauki. Och, jak ja lubiłam szkołę i z jakim utęsknieniem wyczekiwałam, aby znaleźć się w III klasie „Monopolu” (tak popularnie nazywano naszą szkołę powszechną). Cieszyła mnie perspektywa spotkania mojej ukochanej wychowawczynie, koleżanek i kolegów, których przez okres wakacji nie widywałam ze względu na przeprowadzkę do innej części miasta. Słyszałam rozmowy starszych o jakiejś wojnie, ale nie brałam tego poważnie. Wydawało mi się niemożliwe, żeby jakaś tam wojna przeszkodziła mi w pójściu do szkoły.

31 sierpnia cały strój uczniowski czekał uprasowany, gotowy do włożenia w dniu następnym. A tu raniutko rozległy się okropne huki, aż szyby w oknach drżały. Tata i siostra Marysia kazali nam szybko uciekać do schronu w ogrodzie, bo jest to bombardowanie przez niemieckie samoloty. Wszyscy domownicy z kocami i poduszkami wyskakiwali pędem do tego schronu, który od kilku dni był znakomitym obiektem naszych zabaw. Tata taszczył pierzynę, najstarsza siostra Zosia prowadziła, a raczej niemal niosła babcię staruszkę. Przyznam szczerze, że sytuacja raczej mnie bawiła swoją niecodziennością. Nie pojmowałam jeszcze całej jej grozy. A samoloty wciąż krążyły po błękitnym, czystym niebie. Śmiesznie wyglądały białe obłoczki pocisków przeciwlotniczych pokazujących się wokół latających maszyn.

W pewnej chwili wpadł na nasze podwórko zdyszany sąsiad mówiąc, że przy końcu naszej ulicy leży zabita kobieta i koń. Bardzo byłam ciekawa tych nieznanych dotąd widoków, ale rodzice nie pozwolili mi wyjść ze schronu. Po niedługim czasie samoloty odleciały i wszyscy poza babcią i mną powychodzili. Tylko my bidule – najstarsza i najmłodsza – wciąż gniotliśmy się w ciasnym wykopie. Kiedy pozwolono mi go opuścić, na ulicę wyległo pełno mieszkańców pobliskich domów i co chwila ktoś przynosił nowe wieści o zabitych i rannych. „Ale mostu na Wiśle nie zbombardowali” – twierdzili ci wszystko wiedzący. Naloty na miasto powtórzyły się jeszcze, ale nie były już tak groźne. Gorzej skóra cierpła od głośnych, radiowych alarmów, ogłaszanych dla Warszawy.

Już rozniosły się pogłoski o maszerującej od północy armii niemieckiej, więc tata wraz z dwoma wujkami ruszyli w kierunku południowym, uciekając przed nadchodzącym wrogiem. Ze wsi oddalonej o 15-17 kilometrów od miasta przyjechał furmanką stryjek Józek, żeby zabrać do siebie mamę i nas,

cztery dziewczynki. Babcia została przewieziona do córki, która mieszkała na przedmieściu w jednorodzińnym domku z ogrodem.

Podróż na wieś była tragiczna i na zawsze pozostała w mojej pamięci. Jechaliśmy pod prąd uciekających przed najeźdźcami (Męczenin leżał w kierunku Prus Wschodnich). Mijały nas przeróżne oddziały wojskowe, tabory ze zmęczonymi, brudnymi, nieogolonymi żołnierzami. W rowach leżały przewrócone działa lub ich części, połamane wozy konne, zabite konie o wzdętych brzuchach. Utrudzeni piesi z walizkami, plecakami i różnymi tobołkami wlekli się wzdłuż szosy, a wszyscy co jakiś czas uciekali w popłochu w kartofliska, chowając się przed nurkującymi samolotami hitlerowskimi. Na szczęście strzelanie było niezbyt celne, bo tylko kilka trupów spotkaliśmy w czasie jazdy. Pamiętam jak jakiś młody oficer krzyknął: „chłopie, gdzie ty jedziesz? Wykręć konia i jedź w przeciwnym kierunku!”. „Jadę do domu” – odkrzyknął stryjek. Niedługo skręciliśmy w boczną, całkowicie spokojną drogę, która doprowadziła nas do celu. Czekał tam na nas świeży, razowy chleb z masłem i maślanka, przygotowana przez stryjenkę. Legowisko na sianie w stodole pozwoliło odpocząć po męczącej, długotrwałej podróży.

Z krótkiego pobytu u stryjka najlepiej pamiętam kilka rzeczy: przepiękną, letnią pogodę, cudowne, niemal czarne śliwki w sadzie i ciągle chowanie się w redlinach kartofli lub w sadzie przed pikującymi i strzelającymi samolotami.

Po paru dniach zjawił się na wsi nasz tata, zarośnięty jak nigdy przedtem, ani potem, brudny, ale szczęśliwy, że znalazł nas wszystkie całe i zdrowe. Wrócił z tułaczki do domu. Stwierdził, że nasz domek stoi nienaruszony, a w mieście rządzą już okupanci. Powiedział, że nie ma po co siedzieć dalej na wsi, bo podobno ma się zacząć opóźniony rok szkolny. Pogłoska okazała się prawdziwa. Nareszcie mogłam powitać swoją ukochaną Panią, koleżanki i kolegów.

Radość nie trwała długo, bo za kilkanaście dni szkoły polskie zostały zamknięte, a w gmachu gimnazjum im. Władysława Jagiełły, tzw. „Jagiellonce”, rozpoczęła pracę szkoła dla dzieci i młodzieży niemieckiej. Chyba nigdy tak niczego nikomu nie zazdrościłam, jak tym niemieckim dzieciakom spotykanym w drodze na lekcje i z nich powracających. Moje gorzkie uczucia były tym silniejsze, że szkoła mieściła się przy tej samej ulicy, przy której i ja mieszkałam. Wszyscy mieli nadzieję, że wojna wkrótce się skończy i hitlerowcy opuszczą nasz kraj, a w związku z tym nie robiono długofalowych planów dotyczących kształcenia dzieci. Traktowano ten okres jako przedłużone wakacje. Siostry trochę mnie uczyły z moich książek do III klasy, a ja wolałam czytać wszystko co wpadło mi w ręce.

Plany rodziców odnośnie otwarcia sklepu spożywczego w tej nowej, okupacyjnej już sytuacji, przestały być aktualne. Tata w lokaliku przeznaczonym wcześniej na sklep otworzył warsztat szewski (zdobył ten fach w trakcie służby wojskowej). Jego zarobki, warzywa i owoce z naszego ogrodu, możliwość zakupu nabiału, drobiu i innych rodzajów mięsa z dostaw kuzynów ze wsi, zapewniały zupełnie niezłą sytuację bytową naszej rodzinie aż do lutego 1941 roku, tj. do wysiedlenia.

Pierwsze dni przedłużonych wakacji przyjmowałam z beztronską radością, tym bardziej, że nadal były piękne i pogodne. Ale już niebawem, kiedy przyszły jesienne szarugi i sloty, zaczęłam tęsknić za szkołą, za jej bogatym życiem, za usystematyzowanym tygodniem zajęć. Wciąż zadawałam starszym pytanie pełne żalu: „dlaczego dzieci niemieckie mogą chodzić do szkoły, a ja nie?”. I żadna odpowiedź mnie nie zadowalała. A w dodatku trzeba było tym butnym dzieciakom schodzić z drogi, bo inaczej mogło się skończyć źle. Któregoś dnia mój nieco starszy kuzyn Romek nie zszedł z chodnika na jezdnię w czasie przechodzenia kilku umundurowanych chłopaków (Hitler-Jugend). Ci – rozwścieczeni hardością małego Polaka – tak go zbili, skopali, że nie wiadomo jak by się to skończyło, gdyby nie interwencja starszej Niemki. Jacyś Polacy zanieśli go do jego domu, w którym przeleżał kilka dni lecząc urazy. Zapamiętali go ci młodzi hitlerowcy, bo już pierwszym transportem został wywieziony na roboty do Rzeszy, skąd nigdy już nie wrócił. Prawdopodobnie zginął w czasie bombardowania Niemiec przez aliantów.

Pod koniec roku 1940 i na początku 1941 zaczęły krążyć pogłoski, że będą Polaków wysiedlać z miasta. Okupanci robili wcześniej jakieś spisy i dawali spisany kolorowe bilety. Były to podobno wyznaczniki kolejności wywozu. Krewni i znajomi mówili, że bilety, które otrzymała nasza rodzina wskazują, iż będziemy wysiedleni w pierwszej kolejności. W tej sytuacji rodzice na noc umieszczali nas – wszystkie cztery – poza domem. Dwie starsze siostry nocowały w rodzinach ciotek, a ja i Ireczka (starsza o trzy lata) u naszych przyjaciół, którzy mieszkali w budynku Kasy Chorych, gdzie pan Jakub był dozorcą, co podobno gwarantowało jego rodzinie nietykalność. Tu też ulokowali rodzice sporo wartościowych rzeczy.

Któregoś lutowego poranka obudził nas łomot do drzwi i krzyki w języku niemieckim. Kiedy pan Jakub otworzył, do mieszkania wtargnęło trzech żandarmów z karabinami w rękach, wołając „schnell”, „raus” i wywlekając nas z łóżek. Wśród szalejących żołdaków był jeden mówiący niezłe po polsku, który wołał – „będziecie wywiezieni, ubierajcie się szybko! Przygotujcie po jednym pakunku i schodźcie na dół do ciężarówki”. Ten rozkaz dotyczył także nas z siostrą. Pan Jakub, mimo że sam przerażony, zorientował się w sytuacji i zaczął prosić, żeby nas puścili wolno, bo nie jesteśmy jego dziećmi, lecz koleżankami Zeni, jego córki i tylko nocowałyśmy u nich. Mówiący po polsku Niemiec dość długo

tłumaczył coś dowódcy grupy. Wreszcie po sprawdzeniu jakichś papierów ten machnął ręką, kazał nam zabrać swoje rzeczy i wracać do domu.

Idąc ulicami miasta widziałyśmy podobne obrazy. Pędzono ludzi z tobołkami na ciężarówce. Wszyscy szukali najbliższych wokół siebie, byli zszokowani, zapłakani, zrozpaczeni. Plakałyśmy całą drogę, aż łzy zamarzały na policzkach, bo był to jeden z najmroźniejszych poranków tej zimy. Trzęsąc się ze strachu i zimna doszłyśmy do domu. Był zamknięty. Na drzwiach naklejona była kartka z napisem, że to skarb państwa niemieckiego (nie odstraszyło to Polaków – amatorów cudzych dóbr, którzy następnej nocy splądrowali doszczętnie nasze mieszkanie).

Nie było domu, nie było rodziców, a ja tak bardzo chciałam być blisko mamy. Nie mogłam pojąć tego, że ktoś śmiał mi zabrać moją mamusię i pozbawić nas domu. Zrozpaczone zastaną sytuacją stałyśmy płacząc na ulicy, gdzie dostrzegli nas sąsiedzi, którzy potwierdzili fakt zabrania naszych rodziców. Mówili też, że nasza mama była bardzo chora (miewała okropne ataki kolki wątrobowej). Zastanawiano się, czy przeżyje transport odkrytą ciężarówką. Tego typu stwierdzenia jeszcze mocniej nami wstrząsnęły i jak dwie sieroty podreptałyśmy do najbliższej mieszkającej ciotki Kazi. Dopiero tam, nakarmione i napojone gorącym mlekiem, zaczęłyśmy opowiadać co się wydarzyło. Po kilku przeplakanych za rodzicami dniach wujek Leon (brat mamy) zabrał nas do siebie na wieś.

Biedny wujek, do swoich pięciu synów dołączył jeszcze dwie siostrzenice. Wujenka była niemal wciąż chora, ponieważ miała chyba wrzody w przewodzie pokarmowym. Dobrze, że dwaj starsi synowie – 15 i 16-letni, a także moja 14-letnia siostra, mogli już wykonywać wiele prac w domu, w polu i zagrodzie. My, młodsi, też mieliśmy swoje obowiązki, np. obieranie ziemniaków, podkładanie torfu pod blachę, sprzątanie domu, karmienie ptactwa domowego, pasanie bydła itp. Wystarczało nam jednak czasu (przecież nie chodziliśmy do szkoły) na najdziwsze zabawy z chłopcami z sąsiedztwa, jak skakanie z najwyższych belek stodoły na siano lub słomę w sąsiedku, jazda na jednej łyżwie po lodzie, wojny „plemienne” itd. Wstyd przyznać, ale hersztem tej bandy byłam ja, gdyż najlepiej umiałam wymyślać przeróżne zabawy. Przeżyłam przez te 13 miesięcy pobytu u wujostwa ogromnie dużo różnych przygód, ale o jednej napiszę. Otóż nosiłam długie i grube warkocze. Dopóki siostra była ze mną, dbała o moje włosy troskliwie. Po pewnym czasie pojechała jednak do innych kuzynów. Wkrótce moje włosy stały się żerowiskiem dla wszy. Kiedy Irka przyjechała w odwiedziny i zobaczyła moją głowę, zaczęła żałośnie płakać, tym bardziej, że wujostwo stwierdziło, iż nie ma innego wyjścia, jak ogolenie głowy. Rodzinna dumą z moich pięknych warkoczy nie pozwoliła siostrze zgodzić się z tym werdyktem. Gęstym grzebieniem, iskaniem, naftą i wielokrotnym szorowaniem wytepiła obrzydliwe robactwo.

Dnie były pełne swobody, ruchu, zabaw, ale wieczorem i w nocy tęsknota za rodzicami i rodzeństwem, za własnym domem, powodowała płacz i szlochanie, tak że wujostwo zabierali mnie często do swego łóżka, aby mnie utulić i uspokoić. Rodziców wysiedlono do Generalnej Guberni, do Skarżyska Kamiennej. Urządzili się tam na tyle dobrze, że nie głodowali, w czym walczył tacie jego szewski fach. Ale tęsknota za czterema córkami i rodzinnymi stronami zmusiła ich do podjęcia ryzyka nielegalnego przejścia przez „zieloną granicę” i powrotu do swego miasta. Zrobili nam cudowną niespodziankę tajemnym powrotem tuż przed Wielkanocą 1942 roku. Nigdy nie zapomnę uczucia słodkiej radości, kiedy znalazłam się znowu w objęciach mojej mamy. To były prawdziwie szczęśliwe dni świąteczne, spędzone wspólnie z rodzicami w ciasnym domku stryjostwa. Było to możliwe, ponieważ stryjostwo mieszkali na peryferiach miasta, gdzie żandarmi raczej nie bywali.

Zaraz po świętach rodzice zabrali nas – dwie młodsze córki – i znów potajemnie, bocznymi drogami pojechaliśmy furmanką na wieś, do innej gałęzi rodziny mamusi, a potem do jeszcze innej, bo ukrywanie osób niezameldowanych groziło gospodarzom poważnymi konsekwencjami.

W Suchodole, w zamożnym gospodarstwie bezdzietnego wujostwa, było nam łatwiej żyć. Mieliśmy już własny pokój. Potem hodowaliśmy własne króliki na mięso i wełnę (angory), a jeszcze później nawet świniaka i kozę. Za ten „dobrobyt” trzeba było płacić ciężką pracą w gospodarstwie. I tak w czasie pielenia buraków cukrowych przez kilka tygodni siedziałyśmy z mamą w redlinach, a w czasie kopania całe dni zbierałyśmy ziemniaki za koparką. Żniwa i sianokosy wspominam miło, bo chociaż też wymagały ciężkiej pracy, sprawiały wiele przyjemności. Okropne były młocki zbóż. Dla mnie najgorsze jednak było pasanie świń, które nie znały żadnego moresu i wchodziły bez przerwy w szkodę. Krowami zajmował się najmowany pastuszek.

Muszę wyjaśnić, że z rodzicami przebywałam tylko ja, gdyż pozostałe siostry mieszkaly i pracowały u innych krewnych.

Bardzo przykre było chodzenie późną jesienią i wczesną zimą na tzw. „szarwarki”. O świcie wychodziło się na pole majątków zabranych polskim dziedzicom przez okupantów na wrywanie i oczyszczanie buraków cukrowych, często spod śniegu, aż ręce okropnie marzły, nawet w grubych rękawicach. Wiosną szarwarki odbywały się na torfowiskach, gdzie wydobywano i suszono torf na opał. Ciężkie były te długie, mokre bryty, noszone na drewnianych deskach od maszyny formującej do

miejsca suszenia. Och, jak bolały ręce i kark od tego wielogodzinnego dźwigania. A powtarzało się to przez kilka dni.

Ponieważ przez półtora roku mieszkaliśmy nielegalnie u wujostwa, trzeba było dość często chować się przed odwiedzającymi wieś żandarmami. Latem uciekaliśmy w rosnące zboża, w innych porach roku do skrytki urządzonej w stodole. W końcu 1943 roku, dzięki znajomościom w urzędzie gminy, udało się zameldować naszą trójkę na pobyt w Suchodole, co umożliwiło jawne życie. Z drugiej jednak strony – znaleźliśmy się w rejestrach władz okupacyjnych. Efekt tej nowej sytuacji nie dał długo na siebie czekać. Którejś nocy obudziło nas walenie do drzwi, żądanie ich otwarcia, a następnie świecenie latarkami po łózkach i pod nimi. Ojca jako zakładnika zabrano na posterunek w gminie. Później dowiedzieliśmy się, że partyzanci zrobili jakiś sabotaż i hitlerowcy szukali winnych. Rozpaczaliśmy z mamą i siostrą, która przybiegła do nas od swoich gospodarzy, że już może nigdy ojca nie zobaczymy. Mama zaraz rano pobiegła do gminy, gdzie trzymano zakładników w areszcie. Oczywiście wzięła ze sobą gąskę i trochę innych wiejskich smakołyków (maso, miód) i wręczyła przez znajomego urzędnika komendantowi posterunku. Przez parę dni strach trzymał nas w kleszczach, ale któregoś popołudnia tata wrócił wolny, zdrowy i cały. Kilku zakładników po sprawdzeniu puszczono wolno, innych wywieziono do powiatu. Trzeba powiedzieć, że żandarmi w tej gminie byli starszymi, dość spokojnymi Niemcami. Tylko jeden, młodszy, był Polakożercą, ale na szczęście dla nas jego w tym czasie na posterunku nie było.

Rok 1944 zaznaczył się dla naszej rodziny wieloma wydarzeniami. Niemcy wywieźli kolejno moje starsze siostry (te mieszkające w mieście) na kopanie okopów. Wkrótce wywózki na kopanie rowów obronnych zaczęły dotyczyć także bezrolnych mieszkańców wsi i młodzieży z rodzin gospodarskich.

Był piękny czerwcowy dzień, który spędziłam na szarwaku przy kopaniu torfu. Zapadał już wieczór, kiedy straszliwie zmęczona wróciłam do domu. Pokój zastałam pusty. Rodzice zniknęli! Okazało się, że ojca i siostrę zabrali Niemcy na roboty, a mama pobiegła za nimi, żeby ich ratować. Zmęczona, głodna i samotna zaczęłam okropnie płakać i niewiele pomagało pocieszenie przez ciotkę i wuja.

Okazało się, że zabranych pogoniono w kolumnie do miasta, skąd rzeczonymi barkami miano ich przetransportować gdzieś dalej. Tuż przed załadunkiem udało się mamie wyrwać siostrę z kolumny i ukryć się wraz z nią w bramie. Potem, znów cichaczem, pozostawiła ją w mieście u kuzynów, a sama wróciła do mnie na wieś.

Tata po kilku dniach uciekł z obozu kopaczy i wrócił, też po kryjomu, na wieś. Znow przebywał tu nielegalnie. Razem przeżywaliśmy odwrót hitlerowskiej armii i wkroczenie wojsk radzieckich. Ciężkie to były chwile. Przez kilka godzin ocieraliśmy się o śmierć, gdy kule armatnie rozrywały się wokół nas. Na szczęście pociski z katiusz leciały poza nasz dom. Rosjanie dosłownie gonili hitlerowców, a szczególnie uciekających niemieckich cywilów, ciągnących na zachód całymi taborami. Jedna z takich grup została zatrzymana przez mieszkańców wsi, którzy przy pomocy żołnierzy radzieckich rozgrabili dobytek uciekinierów.

Nigdy nie zapomnę swego przerażenia, gdy doszłam z przyjaciółką na plac za stodołą, na skraju wsi, gdzie w błotnistym śniegu ludzie wyrywali sobie sprzęty domowe oraz różne przedmioty z załadowanych furmanek. Pośrodku tego chaosu leżał nagi trup starego Niemca, zastrzelonego przez żołnierza za próbę obrony własnego dobytku. Oszołomiona wycofowałam się z tego przerażającego placu, gdy nagle pod nogami zobaczyłam figurkę czarnego kotka z czerwoną kokardą i zadartym ogonkiem. Z tą zdobyczą wróciłam prawie nieprzytomna do domu. Opowiedziałam rodzicom co widziałam. Mama skrzyczała mnie, że tylko tyle przyniosłam do domu. Ja z kolei chlipałam, że nawet wstążek do warkoczy nie zdobyłam (och, jak marzyłam o kolorowych wstążkach do swoich warkoczy!). Mama zdenerwowała się tym, co usłyszała, bo dobra ponemieckie zabierali nie ci, którzy mieli do tego ewentualnie jakieś prawo. To przecież nas Niemcy odarli z całego dobytku, wysiedlając z własnego domu. Okropnie zła wyszła na rozjeżdżoną czołgami drogę i – o dziwo – znalazła piękne wstążki w szkocką kratę w kolorze biało-czerwono-granatowym. Radość moja była ogromna, ponieważ takiego luksusu nie miałam od paru lat.

Nazajutrz po wyzwoleniu tata z mamą wyruszyli wynajętymi saniami do oswobodzonego właśnie rodzinnego miasta, aby zająć własne mieszkanie. Okazało się to zresztą niemożliwe, gdyż przebywała tam już jakaś polska rodzina. Trzeba było szukać lokalu ponemieckiego. Następnego dnia ja miałam wyruszyć do miasta, lecz nie sama, tylko z naszą kotną kozą. I wyruszyłam. A był bardzo mroźny i słoneczny poranek, aż od śniegu blask raził oczy. 15 kilometrów dzielących nas od miasta pokonywałam już wielokrotnie, ale teraz dreptałam z grubą i złośliwą kozą. Jej małe raciczki ślizgały się po nierównej lodowo-śniegowej drodze i już po paru kilometrach zwierzę zapierało się, nie chcąc iść dalej. Prośbami i groźbami zmuszałam ją do dalszego marszu, podtykając co pewien czas jakiś przysmak. Ledwie wlokła się koza, ledwie szłam ja, a krótki styczniowy dzień chylił się ku zachodowi. Miałam przed sobą jeszcze parę kilometrów. Zmęczenie i strach ogarniały mnie coraz bardziej. Przecież wzdłuż pokonywanej drogi leżały trupy żołnierzy niemieckich, popsute działa i czołgi, a dość blisko grzmiały wystrzały artyleryjskie. W dzień było na szosie dość ludno, bo ciągnęły przeróżne oddziały wojska

---

radzieckiego. Żołnierze wesoło do mnie zagadywali, przyjaźnie machali, ale wraz z nastaniem szarówki wszystko opustoszało. Koza co chwila kładła się na śniegu nie mając sił iść dalej. W tej sytuacji postanowiłam skręcić w boczną drogę, bo w odległości 1,5 kilometra mieszkali nasi kuzyni, do których postanowiłam dotrzeć. Z jakim trudem dobrnęliśmy obydwie z kozą do tych właśnie krewnych, to wiedziałyśmy tylko my obie, nieszczęsne wędrowniczki. Obydwie byłyśmy mokre z wysiłku, kiedy wreszcie dotarłyśmy do celu – ku ogromnemu zdumieniu gospodarzy.

Aż trudno wyobrazić sobie rozpacz mego ojca i siostry, którzy z saneczkami wyszli mi naprzeciw i po przejściu paru kilometrów nie spotkali mnie. Myśleli już o najgorszym, że już nie żyję, ale wiedzeni cudowną intuicją skręcili także do kuzynów. Tu, ku swej wielkiej radości, spotkali najmłodszą pociechę, wędrowniczkę, która z kozą ruszyła ku wolności.